

SZLAKIEM ZAKARPACKICH „MAGAZYNÓW”

Ukraina 2018



Opracował:
Jerz Szczęsny



Od kilku lat chciałem jechać na Ukrainę. Zachęcały mnie do tego dobre relacje wielu osób z wyjazdów w tamtejsze strony. Argumentów na korzyść tego kierunku było bardzo dużo, zwłaszcza dzikość przyrody oraz otwarci ludzie. Miałem ochotę przekonać się osobiście jak to faktycznie jest na tej zakarpaciej Ukrainie. I w końcu w tym roku w majówkę udało się dotrzeć do tej upragnionego Zakarpacia.

Dzień 1. Krościenko - Jasienica Zamkowa (66 km)

Wcześniej przed wyjazdem wysłałem maila do Straży Granicznej w Krościenku, aby się upewnić jak wygląda sprawa przekraczania granic. Rowerem, pieszo, autem itp. Dostałem maila, w którym podkreślono, że przejazd rowerem nie jest możliwy. Z tego też powodu zamówiłem przewoźnika, aby z Ustrzyk Dolnych przewiózł mnie z kolegą

na drugą stronę granicy. Bus przyjechał po nas o 5:30. Byliśmy zaskoczeni, że na dworze było 0 stopni. Zimno. Zastanawialiśmy się co to będzie na tej Ukrainie, jak co noc będzie 0 stopni. Podjechaliśmy pod granicę gdzie było tłoczno, bardzo tłoczno.auta przesuwwały się w tempie wolniejszym niż żółw. Po 1,5 godzinie stwierdziliśmy, że podejmiemy sprawdzić czy może da się korek rowerami ominąć. W międzyczasie zrobiło się już dobrze ciepło. Pani strażnik graniczna otwierająca pierwszy szlaban, pokazała auto stojące przy szlabanie, konkretną skodę fabia na polskich numerach, ale z obywatelami Ukrainy w środku. Przed nią było jeszcze z 10 aut do odprawy. Podprowadziliśmy rowery za skodę i staliśmy. Ale niecierpliwość wzięła górę i podeszliśmy do przodu wraz z rowerami. Wyszła z budki kolejna pani strażniczka graniczna i powiedziała, że idziemy bez kolejki i że mamy się stąd wynosić i stać

Co jakiś czas były jakby plamy świeżo wysypanych okrągłych kamieni z rzeki w dużej ilości. Pani grabiami rozgrabiwała je aby były równo. Jechać czasami się po tym nie dało, bo się przesuwwały pod kołami roweru i można było fiknąć.



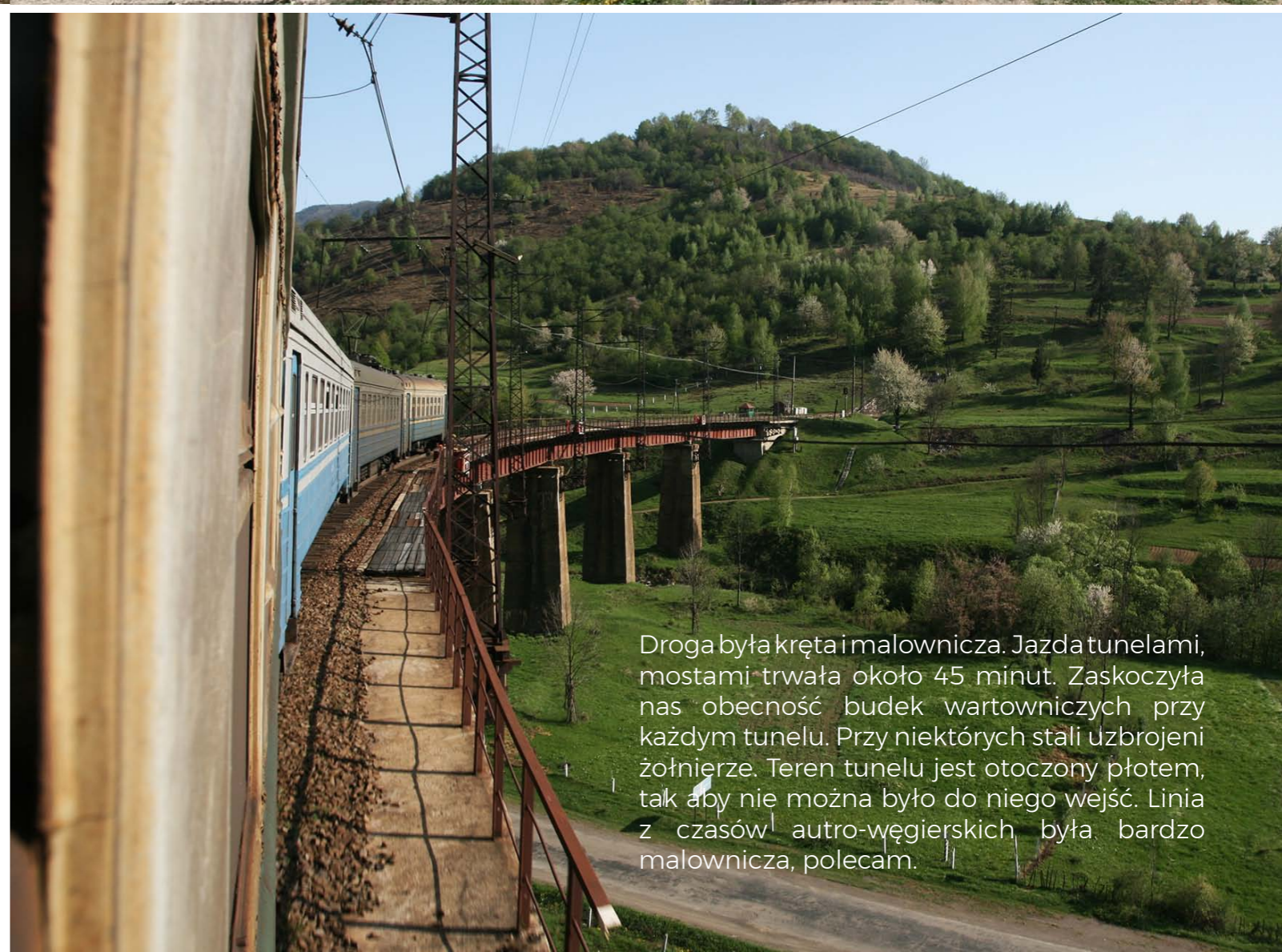


Mijając budowany nowy dworzec doszliśmy do sklepu aby w cieniu wypić zimno piwo. Smakowało wyśmienicie w ten gorący. Podszedł do nas jakiś lokals i pogadaliśmy o tym co tu było a co jest teraz. Sympatycznie się rozmawiało i popijało piwo.

tam gdzie nam wskazano. Czyli za skodą. Jak to określiła, mamy nie stwarzać sytuacji konfliktowych, bo inni też czekają, a my się wciskamy. Wycofaliśmy się do skody. Kierowca ze skody był zaskoczony, po co my z tymi rowerami stoimy. No nic staliśmy bo nam kazali i już. Po kolejnej godzinie byliśmy już przed odprawą. Sprawdzone nam paszporty i podeszliśmy na stronę ukraińską. Tam dopiero konkretnie nam powiedziano, czemu mamy stać za autem wskazanym i się go trzymać. Przypisano nas do tej skody, za którą staliśmy, czyli byliśmy jakby pasażerami tej skody z rowerami ze sobą. Mimo, że się nie znaleźliśmy, ani też nie siedzieliśmy w tej skodzie. Ukraińcy dostali kwit, że nas przewieźli i pojechali. My tym samym mogliśmy wreszcie pedałowac po ziemi ukraińskiej. Całość tej zabawy z przekraczaniem trwała od godziny 6 do ok. godziny 10. Ale że na Ukrainie jest czas do tyłu to byliśmy na Ukrainie w okolicach 9-tej. Postanowiliśmy, że jak będziemy wracać to na własną rękę podjedziemy rowerami,

aby nas do kogoś przypisali.

Ruszyliśmy w końcu przed siebie. Tuż przy pierwszej stacji paliw kupiliśmy u „konika” walutę ukraińską. Było fajnie, świeciło słońce, humory po przekroczeniu granicy dopisywały, nie było ruchu i był asfalt. To ostatnie było krótko, po paru kilometrach zaczęły być szczątki asfaltu z dużą ilością dziur, aby następnie przejść w coś jakby szutrową drogę. Składającą się raczej z drobnych i ostrych kamieni. Co jakiś czas były jakby plamy świeżo wyspanych okrągłych kamieni z rzeki w dużej ilości. Pani grabiami rozgrabiła je aby były równo. Jechać czasami się po tym nie dało, bo się przesuwaly pod kołami roweru i można było fiknąć. Architektura zmieniła się zupełnie. Nie spodziewałem się tej zmiany tak gwałtownie. Wjechaliśmy w jakiś inny okres, epokę jakby z lat 70-tych w Polsce. Od czasu do czasu zmieniało to wrażenie przejeżdżające rzadko auto marki zachodniej. Zaczęły się górki. Słońce zaczęło też coraz mocniej doskwierać. Zajechaliśmy do pierwszego sklepu



Droga była kręta i malownicza. Jazda tunelami, mostami trwała około 45 minut. Zaskoczyła nas obecność budek wartowniczych przy każdym tunelu. Przy niektórych stali uzbrojeni żołnierze. Teren tunelu jest otoczony płotem, tak aby nie można było do niego wejść. Linię z czasów auto-węgierskich była bardzo malownicza, polecam.



A dom był następujący: pokoje z lat 70-tych z grubym kurzem, łazienka to studnia i miski, kuchnia to stół i krzesła oraz garnek i kubki, toaleta to tzw. „wychodek” mieszczący się na zewnątrz budynku, ale z ładnym widokiem.



tw. „magazyn”. Wygląd zewnętrzny jak i wnętrze było dla mnie jak z innej epoki. Zatrzymaliśmy się, aby zorientować się w cenach oraz wypić swój pierwszy kwas chlebowy, zachwalany przez mojego towarzysza podróży Piotra, który zawitał na Ukrainie kolejny w swoim życiu raz. Kwas był zimny i smakował wyśmienicie. Wypiliśmy go siedząc na drewnianych pieńkach w cieniu drzew przy drodze i przy sklepie. Dalej pojechaliśmy do miasteczka Stary Sambor, aby zaspokoić nasze żołądki. Trafiliśmy do lokalu, który oferował całkiem smaczne jedzenie w dobrych cenach. Na łebka wydaliśmy gdzieś po 8 zł. Ruszyliśmy dalej. Życie na drodze i wokół drogi toczyło się sielsko. Miałem wrażenie, że nikomu się nie śpieszy, a każdy swoją czynność wykonywał spokojnie i powoli. Nawet psy nie chciały się szczekać, ewentualnie podnosiły głowy z sennego letargu. Co wioska psom się nie chciało szczekać, wszystkie jakby miały totalny

luz. Dotyczyło to nie tylko psów, spotykane osoby również działały bez pośpiechu. I tak również bez pośpiechu dotarliśmy w okolice Jasienicy Zamkowej gdzie na tyłach gospodarstwa rozbiliśmy nad rzeką swój domek. Zanim to zrobiliśmy zapytaliśmy starszej pani czy możemy się gdzieś na trawce rozbić się z namiotem. Odpowiedź w stylu : „wszędzie” i pokazujący gest dłoni, znaczyła jasno, że nie stanowimy żadnego problemu i miejsca jest pod dostatkiem.

Dzień 2. Jasienica Zamkowa - Sianki (pociąg z Sianek do Wołosianki) - Wołosianki (45 km)

Wstaliśmy rano wyspani, bo po poprzednim wczesnym poranku. Tradycyjnie wiozłem ze sobą do konsumpcji niechciane już czekolady świąteczne z Bożego Narodzenia i Wielkanocy, czyli jajka i mikołajki. Jeść się tego nie chciało, więc z zakupionym pobliskim sklepie mleku, przetopilem



Zimny kwas w lokalach smakował wyśmienicie. Zajrzeliśmy chyba do każdego baru, który był po drodze.



Okazało się, że to taki lokalny pomocnik wielu gospodarstw okolicznych. Doił krowy, sprzątał, rąbał drzewo, kosił itp.itd. Pokazał nam dom, pokój w którym śpi, a także ten w którym to my mielibyśmy spać. Szybko uporządkował bałagan, przyniósł krzesła, stół. Gadał cały czas jak nakręcony. Ale czuć było taką szczerą i zyczliwą. Przyniósł wodę ze studni do mycia. Przegadaliśmy wieczór i poszliśmy spać.

je tworząc całkiem smaczną pitną czekoladę. Na rano jak znalazł, aby dała trochę „kopa”. Po dość nudnej drodze pojechaliśmy asfaltem do Turki. Po drodze złapała nas jeszcze letnia krótka burza z deszczem. Turka wyglądała raczej zniechęcająco. Mieliliśmy coś tam zjeść, ale w niedzielę było pusto i cicho. Mijamy dworzec autobusowy robił ponure wrażenie. Przy wyjeździe z miasteczka pojechaliśmy boczną dziurawą drogą pod górę. Dojechaliśmy do głównej drogi, która miała lepszej jakości asfalt. Nie bardzo się cieszyliśmy wbrew pozorom, bo brakowało cienia, a słońce przygrzewało niemiłosiernie. Na przystanku postanowiłem się przebrać w bluzę z długim rękawem, aby uchronić spalone już ręce. Było czuć smród rozgrzanego asfaltu. Ja przepocony, w jedynych krótkich spodenkach i czarnej bluzie z długim rękawem wyglądem „fantastycznie”. Nie byłem przygotowany na upały po 30 stopni. Raczej dotychczas miałem zmienną pogodę i na to byłem gotowy. Po drodze zjedliśmy obiad, który ponownie okazał się być nie tylko smaczny ale i tani. Nie zliczę ilości przystanków na lody i zimny kwas. Do Sianek dotarliśmy nieco „wypompowani”, upał był nieznośny i nas solidnie wymęczył. Zjechaliśmy na dworzec, aby przejechać opisywaną często na Internecie trasą kolejową, której początki sięgają czasów austrowęgierskich. Dworce są dwa, nowy i stary. W starym ledwo znaleźliśmy wejście do kasy, gdzie w ciemnym szarym pomieszczeniu siedziało parę osób i sobie rozmawiało. Nie zewnątrz nie było nikogo, czuć było tylko straszny gorąc, kurz i jakby zapach starego metalu. Ale Pani kasjerka zaraz wstała zaprowadziła do kasy i wydrukowała nam bilety na pociąg. Z początku nie wierzyliśmy, że cena wydrukowana jest prawidłowa, ale widniało tam 8 hrywien za osobę (10 hrywien to 1.40 zł). Odjazd był za 1.5 godziny. Mijając budowany nowy dworzec doszliśmy do sklepu, aby w cieniu wypić zimno piwo. Smakowało wyśmienicie w ten gorąc. Podszedł do nas jakiś lokales i pogadaliśmy o tym co tu było a co jest teraz. Sympatycznie się rozmawiało i

popijało piwo. Nadszedł czas odjazdu pociągu. Pociąg był podstawiany, więc śpieszyć się nie musieliśmy. Ale wstawić rowery do ukraińskiego wagonu, to niezłe zadanie. Wejście było szerokie, ale tak wysoko, że rower stojący w pionie dalej nie stał na podłodze wagonu. No ale we dwóch jakoś je tam wciągnęliśmy. W środku było duszno, okna niektóre tylko udało się otworzyć, a czystość szyb była taka, że ledwo co było widać. Tyle że pasażerowie to chyba byliśmy tylko my dwaj. Przez otwarte okna mieliśmy nadzieję coś zobaczyć. Pociąg ruszył i zaczęła się zabawa. Przechodziliśmy z prawej na lewą stronę wagonu, aby przez otwarte okna coś zobaczyć, coś sfotografować, bo krajobrazy się zmieniały stronami. Po jakimś czasie przyszedł konduktor sprawdzić bilety, wszystko było ok, z wyjątkiem tego, że nie mieliśmy biletów na rower, które podobno nie trzeba było mieć, jak nam powiedziała pani sprzedająca bilety. Konduktor machnął tylko ręką i poszedł. Prędkość elektryczki była nieduża. Droga była kręta i malownicza. Jazda tunelami, mostami trwała około 45 minut. Zaskoczyła nas obecność budek wartowniczych przy każdym tunelu. Przy niektórych stali uzbrojeni żołnierze. Teren tunelu jest otoczony płotem, tak aby nie można było do niego wejść. Linia z czasów austrowęgierskich była bardzo malownicza, polecam. Wysiedliśmy przepoceni z wagonu, a raczej wypadliśmy, bo wysokość pokładu jest niesamowita. W Wołosiance postanowiliśmy spróbować wziąć pokój. Mieliliśmy ogromną ochotę wziąć prysznic po upale i kurzu. Podjechaliśmy do sklepu, aby zrobić zakup i przy okazji zapytać sprzedawcę czy może coś wie o pokojach. Pan poprosił innego pana o pomoc, aby nas zaprowadził do pani, która może nam udostępnić pokój. Starsza, wesoła pani ucieszyła się nawet, że my z Polski. Zaprowadziła nas do innego całkiem sporego domu. Z zewnątrz całkiem zadbanego. I zaczęła pokazywać, pokoje, łazienkę, toaletę, kuchnię. Mieliliśmy być sami w całym domu. Miałem wątpliwości ile to może kosztować, ale pani: „a co tam dacie”.



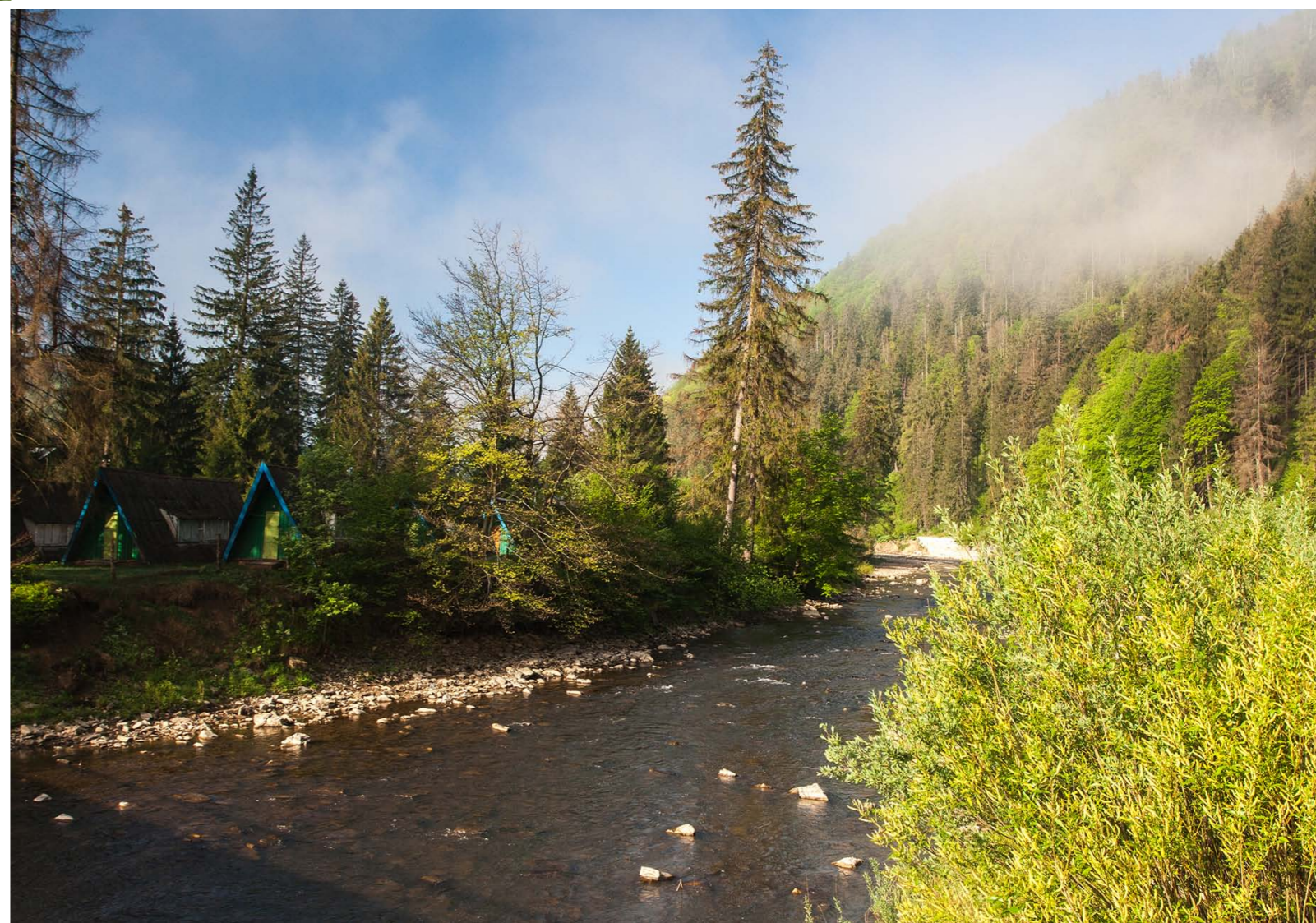
Wstaliśmy rano, a dookoła była mgła i przyjemny poranny chłód. Tego ostatniego niestety długo nie czuliśmy. Jak tylko słońce przygrzało, mgła zniknęła, a wraz z nią przyjemne uczucie chłodu.

Wzięliśmy to. A dom był następujący: pokoje z lat 70-tych z grubym kurzem, łazienka to studnia i miski, kuchnia to stół i krzesła oraz garnek i kubki, toaleta to tzw. „wychodek” mieszczący się na zewnątrz budynku, ale z ładnym widokiem. Mimo wszystko było fajnie. Rozłożyliśmy rzeczy w pokoju i poszliśmy spróbować znaleźć coś do zjedzenia na ciepło. Marzył nam się obiad w knajpie. Doszliśmy do sklepu, przy którym był nawet bar, gdzie można zjeść obiad. Jednak tego akurat dnia, odbywała się impreza i obiadu nie mogliśmy zamówić. Kupiliśmy więc piwo, aby w ten upał się spokojnie napić czegoś zimnego. W trakcie konsumpcji obok wyszli młodzi ukraińcy, którzy imprezowali. Zaprosili nas na kieliszek wódki, ale to był całkiem duży kieliszek. Od słowa do słowa, od kieliszka do kieliszka, towarzystwo łącznie z nami mocno się rozgadało. Tematów było dużo. Okazało się, że impreza z okazji pierwszych urodzin dziecka. Aleksander - tak miał na imię synek, miał też bardzo ładną mamę. W

trakcie imprezy dowiedziałem się, że kobiety siedzą osobno i piją, a mężczyźni osobno. Ciekawe. Po jakimś czasie krętą drogą tym razem wróciliśmy do swojego domu z lat 70-tych. Bez obiadu, ale napici i napchani ciastem postanowiliśmy jeszcze sobie zrobić makaron, bo dalej byliśmy głodni. Zasnęliśmy szybko. Rano po sutym śniadaniu, spakowaliśmy się. Daliśmy pani 100 hrywien, szybko schowała pieniądze za fartuch i nas pożegnała zadowolona.

Dzień 3. Wołosianki - Użgorod (90 km)

Zadowoleni ruszyliśmy dalej. Gdzieś po 2 godzinach jazdy, podziwiając piękne kwitnące drzewa dojechaliśmy do wioski, w której obudziły się nasze żołądki. W jednym ze sklepów, gdzie zapytaliśmy o możliwość zjedzenia czegoś ciepłego, dowiedzieliśmy się o możliwości zjedzenia czegoś na ciepło w pobliskim motelu. Ku naszemu zaskoczeniu Pani najpierw upewniła się telefonicznie. Motel był prawie pusty, ale schludny. Spotkaliśmy tam parę Polaków, którzy





mieli tam bazę, a po okolicach jeździli rowerami. U Gospodyni zamówiliśmy niezły lunch: jajko sadzone z ziemniakami z cebulą i boczkiem, boczek, pierożki z mięskiem, herbatę, chleb. Pojedliśmy zdrowo. W trakcie konsumpcji przy bramie śmignęli mi dwaj rowerzyści, którzy jak kojarzyłem mogli nas dogonić gdyż jechali część naszej trasy z Medyki. I faktycznie to byli oni. Dołączyli do nas do stołu i również zamówili małe co nieco. Tym razem w czwórkę przez krótki czas będziemy razem. Podążyliśmy do Użgorodu razem. Upał nie odpuszczał. Po drodze schłodziliśmy nasze gorące ciała w zimnej rzece. Nie ominęło nas zimne piwo, ani zimny kwas, którego po drodze nie brakowało. Droga była szeroka, trochę nierówna, a pobocze na które trzeba było dość często zjechać ze względu na ułańską fantazję kierowców, było utwardzone. Użgorod zaskoczył nas wielkością, różnorodnością aut i jakością ulic. Koledzy zarezerwowali nocleg także dla nas przy kompleksie z basenami Arizona. Arizona była całkiem tania, na nas

czterech wyszło 59 zł razem. Był prysznic i toaleta i czysty także pokój z piętrowymi łózkami dla 5 osób. Nas było czterech, więc jedno było wolne. Po rozpakowaniu poszliśmy zwiedzać miasto. Było całkiem ładnie, schludnie, a ulice przy rzece tętniły życiem. Zeszło nam na zwiedzaniu i próbowaniu lokalnego wina aż do północy. Niespodzianka czekała na nas w pokoju. Jako piątego lokatora dopisano nam gościa do pokoju. Gość spał w najlepsze, a my staliśmy jak wryci. Ale nic otworzyliśmy wino i wypiliśmy zdrowie, poszliśmy spać.

Dzień 4. Użgorod – Svalyavka (62 km)

Rano musieliśmy się zdecydować czy jedziemy razem we czwórkę czy też osobno po dwie osoby. Każda z ekip miała nieco inne plany i inne moce w nogach. Doszliśmy do wniosku, że osobno. Nim jednak się rozdzieliliśmy zwiedziliśmy jeszcze raz rowerami miasto. Po pożegnaniu się z kolegami ruszyliśmy w stronę Perenczyna i tam odbiliśmy na Wołowiec. Po drodze nie



Pani przyniosła nam na tacy dwudaniowy obiad: barszcz ukraiński z żeberkiem, kaszę z mięsem w panierce, surówkę i chleb, sztuczce owinęła serwetką. Szczęka nam opadła.

obyło się bez chłodzenia ciał w rzece, zjedzeniu pół litrowych lodów, a także sporego obiadu. Po czymś takim nad jakąś rzeką zdrzemnęliśmy się, aby przeczekać największy upał. Zimny kwas w lokalach smakował wyśmienicie. Zajrzeliśmy chyba do każdego baru, który był po drodze. Jedną z pań koszących właśnie trawę zapytałem o możliwości noclegu. Zadzwoiła do jednej osoby i powiedziała, że mamy poczekać. Po paru minutach przyjechał człowiek o ciemnej cerze na ledwo zipiącym rowerze. Uśmiechnięty i z energią poprowadził nas do domu, w którym mieszkał za zgodą tej zaczepionej przez nas pani. Okazało się, że to taki lokalny pomocnik wielu gospodarstw okolicznych. Doił krowy, sprzątał, rąbał drzewo, kosił itp. itd. Pokazał nam dom, pokój w którym śpi, a także ten w którym to my mielibyśmy spać. Szybko uporządkował bałagan, przyniósł krzesła, stół. Gadał cały czas jak nakręcony. Ale czuć było jego szczerość i życzliwość. Przyniósł

dwa wiadra wody ze studni do mycia, dał miednicę i zaproponował poranną kawę. Przegadaliśmy wieczór i poszliśmy spać.

Dzień 5. Svalyavka – Wołowiec – (pociąg) – Sławsk (61 km)

Rano obudził nas „gospodarz”, a w rękę trzymał kawę. No cóż wstaliśmy, bo znaczący to był gest z jego strony, poza tym wybierał się też do swoich zajęć i czekał aż my wyjedziemy. Do śniadania przyniósł nam też miód, który dał mi w prezencie, przywiozłem go do Polski, mimo niewygodnego szklanego słoika. Pyszny. Ruszyliśmy wzbudzając ogromne zainteresowanie miejscowych dzieciaków czekających na autobus do szkoły. Droga była kręta i dziurawa, ale urozmaicona pejzażowo. Nad nami zaczęły się zbierać chmury, duchota była taka typowa przed burzą. Wpadliśmy na dworzec zobaczyć z ciekawości jak ewentualnie kursują pociągi do Sławska. Chcieliśmy też zaoszczędzić nieco czasu, bo mieliśmy obawy czy faktycznie



Dojechaliśmy do rzeki, widząc, że po jej drugiej stronie jest dalsza część drogi. Głęboka rzeka nie była, ale śliskie kamienie nie pozwalały przejazd rowerem. Musieliśmy je przeprowadzić. W tej temperaturze to całkiem przyjemna była taka niespodzianka drogowa.





wrócimy zgodnie z założeniami do domu. A czas był niestety ograniczony. W tym też momencie na peron przy nas wjechał pociąg pośpieszny. Drzwi otworzyły dwie panie konduktorki. Jedną z nich zapytaliśmy czy jedzie do Sławsk. Odpowiedziała że tak, jeśli chcemy jechać to szybko mamy wrzucać rowery do środka. Czym prędzej wrzuciliśmy do korytarza rowery z bagażami (oczywiście wagon z pionowym wejściem jak to na Ukrainie). Pani otworzyła nam przedział i zapytała czy chcemy herbatę. Oczy mi na wierzch wychodziły, jaka była kultura, jak czysto i jeszcze do tego propozycja herbaty. A my bez biletu. Powiedziała na bilet „a ile tam dacie” i życzyła miłej jazdy. Do Sławsk dotarliśmy dość szybko. Niestety burza jednak nas goniła. Po szybkich zakupach wyjechaliśmy z miasta, aby gdzieś znaleźć nocleg. Zauważyłem stary wydawałoby się nieczynny ośrodek wypoczynkowy. Tam się rozbiliśmy i bardzo się zdziwiliśmy, gdy się okazało, że pilnujący tam stróż

powiedział, że to działający ośrodek dla młodzieży. Stróż był też zaskoczony naszą obecnością. Za chwilę zaczęło lać.

Dzień 6. Sławsk – Zakopce (60 km)

Wstaliśmy rano, a dookoła była mgła i przyjemny poranny chłód. Tego ostatniego niestety długo nie czuliśmy. Jak tylko słońce przygrzało, mgła zniknęła, a wraz z nią przyjemne uczucie chłodu. Zaczęła się znowu temperatura, nie dająca chwili wytchnienia. Doskwierało to zwłaszcza wtedy, kiedy jechało się drogą gdzie nie było cienia. Po drodze mijaliśmy wioski, jedna wchodziła w drugą. Nie wiadomo było gdzie się kończy jedna, a zaczyna druga. Mijaliśmy też szkoły, gdzie w przerwie wybiegały dzieci do sklepu po słodycze. Niczym się to nie różniło od tego co dzieje się w szkole na przerwach u nas. Różnica była tylko w wyglądzie otoczenia oraz w ubiorze dzieci. Upał zrobił swoje, kilometry się przesuwały





powoli, aż w końcu odezwały się nasze brzuchy domagające się konkretnego jedzenia. Lecz w tych okolicach nie było to proste. Sklepy były pełne słodyczy, alkoholu, kwasu, ale nie mięsa, na które mieliśmy ochotę. Zatrzymałem się akurat przy jednym ze sklepów, który nawet nie wiedziałem że jest sklepem, bo nie miał szyldu ani napisu. Wyszła z domu jakaś pani i otworzyła mi pomieszczenie sklepowe. Zapytałem o kiełbasę, ale jej nie było. Nie było czegokolwiek co by mnie w tym momencie ucieszyło, oprócz zimnego piwa i kwasu. Zacząłem wypytywać o możliwość zrobienia obiadu na ciepło, bo jesteśmy głodni a w okolicy nic nie ma do jedzenia na ciepło. Gospodyni potwierdziła że faktycznie tu nic nie ma, ale ona może nam zrobić w domu jedzenie. Poczekaliśmy ze 20 minut sącząc piwo. Pani przyniosła nam na tacy dwudaniowy obiad: barszcz ukraiński z żeberkiem, kaszę z mięsem w panierce, surówkę i chleb, sztucze owinęta serwetką. Szczęka nam opadła. Nie spodziewaliśmy się tak podanego

obiadu. W końcu to nie restauracja. Zjedliśmy z apetytem. Było tłusto i smacznie. Dopadła nas poobiednia senność. Trasa przed nami była jeszcze dość pokręcona, ale bardzo malownicza i z niespodzianką. W pewnym momencie trzeba było przejechać, a właściwie przejść przez górę by po drugiej stronie zbrocza była dalsza część oczekiwanej nas drogi. Spacer trochę trwał, chwilę też potrzebowaliśmy, aby zlokalizować prawidłową drogę, bo te się rozchodziły w różnych kierunkach. Po przejściu i ostrym zjeździe podeszliśmy do sklepu na zimne piwo. Dalej droga zrobiła się jeszcze ciekawsza. Aż wzbudziła moją wątpliwość i zapytałem miejscowego czy faktycznie prowadzi do wioski Zakopce. Ponieważ było wszystko dobrze, to pojechaliśmy. Dojechaliśmy do rzeki, widząc, że po jej drugiej stronie jest dalsza część drogi. Głęboka rzeka nie była, ale śliskie kamienie nie pozwalały przejazd rowerem. Musieliśmy je przeprowadzić. W tej temperaturze to całkiem przyjemna była taka niespodzianka

drogowa. Podjechaliśmy dalej. A to kolejne przejście przez nieco większy i mocniejszy prąd rzeczny. Umyliśmy rowery, umyliśmy stopy, mogliśmy jechać dalej. Już właściwie dotarliśmy do wioski Zakopce. We wiosce spróbowaliśmy zapytać kogoś o możliwość spania albo w namiocie albo też w pokoju. Za drugim podejściem się udało. Starsi państwo dali nam do dyspozycji pokój oraz nakarmili. Zaproponowali nawet wódeczkę. Łazienki jako takiej nie było, a toaleta straszyla swoim wyglądem. No ale na takim poziomie żyją ludzie na wsi ukraińskiej.

Dzień 7. Zakopce – Chyrów (85 km)

Na śniadanie gospodyni przyniosła nam jeszcze jedzenie. Bardzo dbała abyśmy nie wyjechali głodni. Byliśmy bardzo mile zaskoczeni. Pogoda dalej była super, tzn. słonecznie i za gorąco. Dalsza trasa była pełna kurzu od mijanych aut. Byliśmy przepoceni i zakurzeni. Ponownie wpadaliśmy do barów na zimny kwas i lody. Nie obyło się też bez

obiadu w knajpie, a także bez kąpeli w rzece. Mieliśmy świadomość kończącej się przygody, gdyż zmierzaliśmy w stronę Chyrowej, niedaleko już Polski. Ale zarówno pogoda jak i drogi nie pozwalały nam zbyt łatwo i szybko jechać. Wiatr w twarz, palące słońce i ciągłe podjazdy i zjazdy odczuliśmy. Tuż przed Chyrówą znaleźliśmy bardzo fajną miejscówkę pod namiot nad rzeką. Bardzo ładne miejsce do kąpeli i rozbicia namiotu na kamieniach prawie bez możliwości wbicia szpilki.

Dzień 8. Chyrów – Ustrzyki Dolne (30 km)
Po bardzo przyjemnym noclegu podjechaliśmy do centrum miasta Chyrowa. Zrobiliśmy ostatnie zakupy, wypiliśmy zimny kwas i wzięliśmy go trochę do Polski. I ponownie zawitaliśmy na granicy ukraińsko-polskiej nie wiedząc czy przejedziemy. Ale strażnik ukraiński tylko zadzwonił i powiedział że jesteśmy przypisani do auta które stoi przed nami. Prowadząca auto Ukrainka była w temacie przekraczania granicy, bo jak



tylko doszliśmy do kontroli sama wzięła nasze paszporty i załatwiła formalności. My tylko pokazywaliśmy swoje twarze do okienka i tyle. Po stronie polskiej powtórka z absurdów. Strażnik graniczny (bardzo sympatyczny) sprawdził nasze paszporty pytając po co tu stoimy w kolejce (kiedy już kolejkę zaliczyliśmy) i mamy jechać. Podczas gdy, celniczka w okienku obok kazała nam się trzymać auta Ukrainki i jeszcze raz przejrzała paszporty. Była nawet miła. Zapytała czy niczego nie przewozimy i puściła nas do kraju. Zajęło nam to gdzieś 1,5 godziny.

I koniec ukraińskiej przygody. Dojechaliśmy do Ustrzyk Dolnych, gdzie czekało auto i nim wróciliśmy do domu.

Podsumowanie:

Pętla razem miała dokładnie 499 km. Męczący był zwłaszcza upał, a także drogi, bo popędzić się nie dało. Ale chcieliśmy się powłóczyć i to robiliśmy. Ta mała wyprawa była dla mnie bardzo

ważna. Ja byłem pierwszy raz na Ukrainie, a kolega z którym jechałem czwarty. Dla mnie było to więc ciekawe doświadczenie. Zaskoczyła mnie negatywnie niska higiena, stan toalet i totalnie bezmyślne wyprzedzanie rowerzystów przez kierowców nawet w sytuacji gdy z przeciwka jechał inny pojazd. Pozytywnie natomiast otwartość ludzi, dzikość przyrody, która nas otaczała, niskie ceny i dobre jedzenie. Bardzo miłe wspominać zimny kwas chlebowy i lemoniadę „z kija” w wioskowych barach lub sklepach. Czemu tak u nas nie ma? Co do jakości dróg to byłem na to przygotowany i byłem zadowolony. Choć samochodem własnym po takich wioskach wolałbym się nie zapuszczać, rowerem to jakaś atrakcja.

Z perspektywy kierowcy auta, to jakość dróg bocznych tragiczna. Ten wyjazd potraktowałem jako spróbowanie i posmakowanie nieco takiej Ukrainy. I to się udało.



Pełna galeria ze zdjęciami oraz mapą trasy dostępna na stronie:
www.roweremdo przodu.za.pl

